

Marta Fox: *Sydonia von Borck, kobieta*

„Spalmy tę czarownicę, będzie cieplej” (Krzysztof Gąsiorowski)

Tak, to ja, Sydonia Borck, krwi szlacheckiej, córka świętej pamięci Otto von Borcka i świętej pamięci Anny von Borck, de domo Schwicheld, urodzona w Roku Pańskim 1545, na zamku w Strzmielu, siostra Doroty i Ulryka, wnuczka szalonego dziadka Ulryka i kuzyna Matzke, zwanego dzikim.

Tak, to ja, od dzieciństwa do innych dziewcząt niepodobna, nie chwalecy się, ale urodziwa, własnymi ścieżkami chodząca, a za mną pies Jurgen i czarny kot Chim, oczy mrużący przy obcych. To, ja, dostojni sędziowie, niegdyś piękna dziewczica, Biblię czytająca, na ziołach się znajdująca, teraz stara kobieta, ciągle dziewczica, w bojaźni bożej trwająca, w klasztorze maryjańskim do niedawna myśli ku Bogu wznosząca.

To ja, Sydonia, sędziowie sprawiedliwi i szlachetni, choć prawdy nieznający, bo omotani fałszywymi świadectwami bliźnich, a w szczególności Anny von Apenburg, Doroty Stettin i Anny Hebron, mniszek z klasztoru w Marianowie, oskarżających mnie o szkaradne praktyki, zaklinanie i przyzywanie choroby i śmierci. Oskarżono mnie, związane, starą i bezradną istotę, wrzucono na trzeszczący wóz i przywieziono na zamek Oderburg.

Siedziałam długo w celi zimnej i wilgotnej, karmiona spleśniałym chlebem i wodą. Przez małe okienko słyszałam pisk mew znad Odry i krakanie kruków, kołujących nad bukami. Słyszałam jęki innych więźniów, skrzypienie krat i brzęk łańcuchów. Przyznaję, rozmawiałam z ptakami, także z drzewami, łapałam promień słońca na ścianie, przykładając go do serca mego i płakałam, kiedy mnie opuścił. Wszystko z samotności wielkiej.

W malignie widziałam psa i kota swego, po imieniu ich wzywałam, do ucha szeptałam, prosząc, by mi rany wylizali, ciepłem się podzielili. Gdybym tą była, za jaką mnie chcecie mieć, czyż trwoniałabym siły swoje na miotanie się od ściany do ściany, czyż wkładałabym głowę w kratę, wrzeszcząc o pomoc? Czyż wzywałabym imię Boga swego na daremno i błagała w ciemnościach - to ja, Sydonia, sługa Twoja, daj mi znak Panie, że jest sprawiedliwość, której ciemnota nie przysłoni.

Spójrzcie na mnie, sędziowie sprawiedliwi, jak z pogardą odrzucam oskarżenia gawiedzi, która się przeciwko mnie sprzysięgła. Czym zasłużyłam na łamanie żeber, druzgotanie członków, zakładanie żelaznych butów na nogę i wsuwanie w palenisko? Czym na tron z kolcami, podgrzewany od spodu? Czym na obcęgi, usuwające paznokcie i zęby? Czym na żelazny hełm, ściskający głowę i na kneblowanie?

To ja, Sydonia, ciągle Sydonia, która resztkami sił odwołuje to wszystko, do czego przyznała się na torturach. Nie uśmierciłam pastora Dawida. Zszedł był, gdyż zbyt często wątle zdrowie piwem z mojej piwniczki krzepił. Nie z mojej mocy ród Gryfitów umierał bezpotomnie. Nie zgładziłam furtiana w klasztorze, który nagłej dychawicy dostał, w zioła moje nie uwierzywszy i przestróg nie posłuchawszy. Nie zgładziłam siostry Magdaleny, zżarła ją gorączka połogowa w tajemnicy trzymana.

Nie potrafię czarować, nie służy mi diabeł, nie mam w nim kochanka, w staropanieństwie dogorywam, w dziewictwie mi łono uszło. Nie zabiłam księcia Filipa, nie zabiłam dziecka Prechelowi. Mimo całej wiedzy swojej, nie potrafię wyjaśnić ich zgonu. Przysięgam na krew Chrystusa, że ich śmierć nie moje sumienie obciąża.

To wszystko oskarżenia z palca wysane, sędziowie dostojni, oskarżenia ludzi z chorą wyobraźnią, zawistników wszędzie diabła węszących. Przywołuję waszą roztropność, wzywam rozsądek, w mądrość wierzę, która nie pozwoli wam we mnie czarownicę zobaczyć, ani na stos mnie skazać.

Oto ja, Sydonia, stara kobieta oszukana przez bliźnich. Najsampierw przez Ernesta Ludwika, o oczach jasnych i ustach namiętnych, syna księcia Filipa I. Książę afektem zapałał, małżeństwo obiecywał, a w końcu ożenił się z

księżniczką Zofią Jadwigą, córką księcia brunszwickiego, cóż z tego, że jak noc listopadowa szkaradną i bez kształcenia żadnego, za to majątną i z krwią bardziej błękitną niż moja.

Potem brat mój, Ulryk, awanturnik i chciwiec, wymógł po śmierci rodzicieli naszych zrzeczenie się praw majątkowych w zamian za utrzymanie i renty roczne dla mnie i siostry mojej, Doroty. Od tej pory niestrudzenie, przez lat czterdzieści i więcej praw swoich przed sądami dochodziłam, z pomocą opiekunów prawnych, jako że kobiety i dzieci głosu nie mają, a mężom swoim podporządkowane, w samotności i zgryzocie żyć muszą i dopóki uroda z lic nie schodzi, na łaskawość liczyć mogą. Mało jednak łaskawości dla niewiast, narzeczonych odprawiających, w staropanieństwie przysięgi dotrzymujących, przed księciem korzystającym z ius prime notis, czmychających.

Sędziowie sprawiedliwi, to ja, Sydonia.

Nie ma we mnie mocy nadziemskich. Przecież we mnie nawet ludzkich mocy nie stało, by krewnym moim część majątku mnie należnego odebrać. Ludzie wierzą, w co wierzyć chcą, wymyślają złe moce, by swój los tłumaczyć, kozła szukają ofiarnego, bo wiedzy im nie staje, bo modlitw wznosić siły nie mają, bo łatwiej kamieniem rzucić w drugiego, byle kłody we własnym oku nie zobaczyć. Was sędziowie proszę o pomoc i Boga mego jedyne, nie diabła kosmatego.

Jeśli głowa moja potrzebna jest do zaspokojenia sumień oskarżycieli moich, to zetnijcie ją. Już więcej sił nie mam do walki z oszczerstwami. Nie potrafiłam widać kochać bliźniego swego jak siebie samego. Nie potrafiłam trwać w posłuszeństwie wobec brata swego i sąsiada mego. Nie byłam cierpliwa, ani łaskawa, szukałam swego i unosiłam się gniewem, pamiętałam, co złe, unosiłam się pychą i szukałam poklasku dla osoby swojej, kobiety we mnie schronienia szukającej.

Zetnijcie mą głowę, a potem w ziemi pogrzebicie. Uwierzcie, sędziowie dostojni, nie będzie wam cieplej od śmierci mojej, bo w życiu uczestniczyłam, jak w sakramentach. I przepowiadam wam, obiecuję, nie umrę cała, nie umrę, nim dwieście lat minie, imię moje powróci w pieśniach i każda kobieta je znać będzie. Każda kobieta, każda. A bogowie będą je wypowiadać szeptem, Sydonia, Sydonia, niewinna Sydonia, niewinna kobieta.